

SAGA
O KOTOŁAKU
KSIN KOCZOWNIK

SAGA

O KOTOLAKU

KSIN. POCZĄTEK
KSIN DRAPIEŻCA
KSIN SOBOWTÓR
RÓŻANOOKA
KSIN KOCZOWNIK

W przygotowaniu

KSIN NA BAGNACH CZASU

KONRAD T.
LEWANDOWSKI

SAGA
O KOTOŁAKU
KSIN KOCZOWNIK

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016
Text © copyright by Konrad T. Lewandowski, 2016

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

1

KSIĄŻĘ KOCZOWNIKÓW

Powiedziała mu to nad ranem.

Potem zasnęła, wtulona w miękkie futro na jego piersiach. Ona – księżna koczowników Amerelis Dumna, ta, przed którą wstawiała plemienna starszyzna, wojownicy przyklękali, a najczcigodniejsze stare kobiety, mówiąc do niej, kładły rękę na sercu. Ksin nigdy nie mógł się nadziwić, jak bardzo zmieniała się jego młoda żona, kiedy zostawali sami. Zawsze od nowa zdumiewało go, jak w takich chwilach łagodnieją jej władcze rysy, jak staje się ufna, dziewczęca i spontaniczna, ale dzisiaj, teraz...

Był przemieniony, więc zapatrzony na nią po prostu zapomniał oddychać. Pierś kotołaka, na której leżała głowa Amarelis, przestała unosić się na tak długo, że aż na twarzy śpiącej pojawił się grymas niepokoju.

To sprawiło, że Ksin otrząsnął się nieco z zachwyty i wciągnął wreszcie powietrze, świadomie, głęboko i powoli. Rysy śpiącej żony znowu się rozluźniły. On ostrożnie cofnął Przemianę, która zaczęła mimowolnie obejmować umysł, wypełniając go furią i agresją, kiedy przedłużający się brak oddechu przybliżył go do stanu naturalnej

śmierci. Sierść na piersiach znikła, pojawił się męski tors. Amarelis przesunęła po nim policzkiem i uśmiechnęła się przez sen.

Po pół roku życia w Pierwszym Świecie zaszły znaczące zmiany w równowadze między stanami egzystencji kota-łaka. Moc Onego działała tu nadal, acz inaczej niż w Suminorze. Ksin wciąż odkrywał nowe efekty. Natomiast jego ciało przystosowało się do tutejszej magii w dość nieoczekiwany sposób. Cechy zwierzęce, które w świecie Międzykontynentu były ledwie widoczne, tutaj zdominowały jego wygląd. Sierść na plecach już nie chowała się pod skórę, miał tam ją cały czas, co w czasie upałów nie było zbyt przyjemne, ale Amarelis nie narzekała. Oczy Ksina stały się typowo kocie, skróciły się i zgrubiały palce dłoni, tak że uchwyt rękojeści miecza lub styliska topora stracił dawną pewność. Do walki w naturalnej postaci kazał więc zrobić sobie krótki miecz, nie ze zwykłą, lecz z poprzeczną rękojeścią, przypominającą zakończenie łopaty, oraz uchwytem usztywniającym nadgarstek. Wyglądało to dziwnie, ale pomysł okazał się bardzo dobry, gdyż Ksin teraz mógł przekształcać dłoń w szpony, nie wypuszczając broni z ręki. Miecz nadal trzymał się łapy, tworząc jakby dodatkowy pazur, dlatego nazwał go Szponem.

Na szczęście rysy twarzy nie zmieniły mu się przesadnie i poza stanem Przemiany nadal dominowały w niej cechy ludzkie. Jednak teraz już na pierwszy rzut oka było widać, że jest mieszańcem kota i człowieka. Jego koczownikom to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, stanowiło bowiem żywe potwierdzenie przepowiedni, której za-

wdzięczał swoją władzę nad nimi. Natomiast przywódcy plemion spotykanych po drodze, podczas zwyczajowych ceremonii poświadczających przyjazne zamiary, z trudem kryli zmieszanie. No właśnie...

Ksin z namysłem popatrzył na Amarelis. Jak będzie wyglądało ich dziecko?

Ta myśl była jak zanurzenie głowy w lodowatym strumieniu. Nie sądził, że może mieć dzieci. Pogodził się z tym. Mag Rodmin mówił, że mieszańce międzygatunkowe są zwykle bezpłodne. To było tak wiarygodne i oczywiste, że nawet się nad tym nie zastanawiał. A jednak...

Gdyby Amarelis nie była z nim każdej nocy, gdyby nie widział jej choćby przez jeden dzień albo gdyby ona choć raz, bodaj na chwilę, zrezygnowała z towarzystwa swego orszaku służek i zacnych niewiast, które z przekazem nazywał Damami Namiotu, nigdy nie uwierzyłby w swoje ojcostwo.

Wszakże Amarelis potrafiła znaleźć się poza wszelkimi podejrzeniami. Tak bardzo, że pierwszym uczuciem kotołaka po jej słowach była czysta radość. Dopiero teraz przyszły otrzeźwienie i obawa.

Ksin sięgnął pamięcią do czasów swego dzieciństwa, do pokaleczonych rąk Starej Kobiety... Co się stanie z niemowlęciem podczas pierwszej pełni księżyca? A co będzie, jeżeli poród Amarelis przypadnie w tej fazie księżyca...?

Ksin zrozumiał, że dziś już nie zaśnie. Mało tego! Nie uleży tu spokojnie ani minuty dłużej! Musiał się natychmiast przejść i pobyć sam.

Delikatnie, ale stanowczo zsunął z siebie nagie ciało żony, przykrył ją skórą, wstał, ubrał się szybko i przypasał Szpon. Zanim skończył, do namiotu weszły Kara i Murkwa – dwie koszarne staruchy w czarnych opończach. W duchu nazywał je Starymi Wronami. Musiały usłyszeć, że się ubiera.

Ksin zastanawiał się nieraz, czy one kiedykolwiek śpią i czy w ogóle mają jakieś uczucia, bo żadne, choćby najdziksze odgłosy namiętności jego i Amarelis nie robiły na nich najmniejszego wrażenia. Żadnego rumieńca, porozumiewawczego spojrzenia, półuśmiechu, dosłownie nic! A przecież obie były wdowami, miały wiele dzieci i wnuków, Murkwa nawet prawnuki. Musiały chyba pamiętać swoją młodość? Wszystko wskazywało, że jednak nie pamiętały...

Obie strażniczki jak zwykle zdawkowo skłoniły się Ksinowi, podreptały do łoża i bez słowa usiadły, Murkwa u wezglowia, a Kara przy nogach Amarelis. Natychmiast znieruchomiały jak posągi. Gdyby kotołak zmienił zdanie, postanowił wrócić do łóżka i znów wziąć żonę w ramiona, wtedy po prostu by wstały i wyszły. Nadal bez słowa. Te nieme wejścia i wyjścia były jedyną formą aktywności, jakiej można było się po nich spodziewać.

Karę i Murkwę zwano oficjalnie Towarzyszkami Niewinności, w Suminorze znano by je po prostu jako przyzwoitki, jednak tutaj były czymś więcej. Ich obecność i misja zostały uświęcone przez plemienne bóstwa. Towarzyszki Niewinności wzywano, by koili obawy chorobliwie zazdrosnych mężów oraz chroniły dziewice przed obmową. Ksin był mocno zdziwiony, kiedy Amarelis zażyczyła sobie

ich obecności od pierwszej nocy oficjalnego małżeństwa. Prawdę mówiąc, nie tylko zdziwiony, lecz także wręcz zniesmaczony tym pomysłem, jednak zazwyczaj uległa we wszystkim Amarelis tym razem nie ustąpiła. Teraz już wiedział dlaczego i był jej wdzięczny. Dzięki temu miał pewność, że jest ojcem...

Wychodząc z namiotu, Ksin pokłonił się Karze i Murkwie głębiej niż zwykle. One, jak zazwyczaj, nie zareagowały.

Przed ich małżeńskim namiotem tliło się ognisko, przy którym czuwali Hakonóz i Arpia. Mówiąc ściślej, to Hakonóz czuwał – siedział wpatrzony w żar, opierając policzki o drzewce broni, której zawdzięczał swe przeżycie. Potrafił spać z otwartymi oczami, więc nie sposób było dojść, kiedy naprawdę śpi, a kiedy nie. Arpia natomiast spała na pewno i głęboko, skulona jak embriion po drugiej stronie ogniska. Miała czternaście lat, była młodszą siostrą Amarelis i na zabój kochała się w Hakonożu, który uparcie ignorował jej zaloty. Poza tym Arpia była wybornym procarzem i z tej przyczyny oraz za wstawienictwem Amarelis zaliczono ją, mimo młodego wieku, do osobistej straży Ksina. Ma się rozumieć, uparta smarkuła zrobiła to po to, aby być blisko Hakonoża, i po nic innego. Ponieważ jednak plemię nie prowadziło żadnej wojny, a nikt nie rzucał kamieni z procy celniej od Arpii, Ksin, ku wielkiemu wstydu i zazdrości wszystkich nastolatków płci męskiej, wyraził zgodę. Wiedział już zresztą, że kobietom z rodu Amarelis się nie odmawia. Zwłaszcza wtedy, gdy któraś z nich postanowiła zdobyć mężczyznę...

Po obu stronach wejścia do namiotu leżały porzucone posłania z futer, na których przed chwilą siedziały Towarzyski Niewinności. Te futra powinny być jeszcze ciepłe. Nadarzała się więc okazja, by dotknąć i zbadać ślad ludzkiego ciepła którejs z nich, sprawdzając, czy Kara lub Murkwa są aby na pewno żywe... Jednak myśl o macaniu posłania staruchy od razu przepłoszył niesmak.

Ksin wyprostował się i rozejrzał dookoła.

Namioty plemiennej starszyny stały w samym środku obozowiska, otoczone skleconą naprędce palisadą, a raczej zasiekim, i osobnym pierścieniem straży. Naprzeciw namiotu Ksina i Amarelis mieszkał Ampeker, a wokół nich pozostali. Wzdłuż zasieku spacerowało teraz trzech wojowników. Cały obóz spał, było spokojnie i cicho, ale spokój w Pierwszym Świecie okazał się jeszcze bardziej złudny niż niebo ponad nim. Nigdy nie było wiadomo, kto i z jakimi zamiarami wyłoni się tutaj zza najbliższego pagórka.

Zaledwie kotołak postąpił krok w stronę ogniska, Hakonóż natychmiast podniósł głowę. Zignorował gest Ksina, by pozostać na miejscu. Wstał i oparł się na swym orężu, spoglądając wyczekująco. Stał nad jego głową zaślniła ciemnym, matowym błyskiem.

Właściwie to była glewia, ale koczownicy nie znali ani tego słowa, ani takiej broni. Hakonóż utrzymywał, że wymyślił ją sam, a Ksin nie chciał mu sprawiać przykrości i wyprowadzać go z błędu. Na długim na cztery łokcie okutym drzewcu sterczało lekko zagięte ostrze, podobne do szabli, długie na kolejny łokieć. Za ostrzem znajdował się hak jak od bosaka – hak i nóż, stąd wzięło się przewi-

sko właściciela tej broni. Hakonóz sam to obmyślił, zamówił u plemiennego kowala, po czym samotnie ćwicząc, doszedł do wielkiej biegłości w walce. Pojedynczy jeździec w starciu z pieszym Hakonożem nie miał żadnych szans. Ksin widział to nieraz, bowiem często spotykali w stepie nomadów dosiadających koni lub wielkich strusi, którzy uważali się z założenia za coś lepszego od pieszych koczowników Ksina, używających głównie zwierząt jucznych i pociągowych.

Hakonóz w takich sytuacjach wyzywał albo przyjmował wyzwania nazbyt zadufanych jeźdźców i szybko ich uczył pokory. Wierzchowiec rzadko przeżywał tę lekcję, a jeździec ściągnięty hakiem z siodła najczęściej kończył z połamanymi kośćmi. O dziwo, za tą sprawnością w walce nie szła dobra sława. Nie dość, że nikt nie chciał Hakonoża naśladować, to jeszcze w całym plemienu skrycie wyśmiewano się z niego, a kobiety wyraźnie go unikały. Powodem był fakt, że jego broń nie nadawała się do polowania. Mówiono zatem, że Hakonóz nie potrafi zadbać o rodzinę, i uważano go za dziwaka, a po trosze za szalonego mordercę. Ksin widział w nim urodzonego wojownika, którego celem życia była doskonałość we władaniu wybraną bronią. Koczownicy tego nie rozumieli, bo choć odwagi im nie brakowało, walczyli zawsze tylko wtedy, gdy musieli. W rezultacie, mimo że Hakonóz dobiegał czterdziestki (ile dokładnie miał lat – nie wiedział), nigdy nie miał żony i zapewne żadnych dzieci. Przez lata trzymał się na uboczu, z uporem ćwicząc ciosy swym hakonożem. Dopiero zauważony i doceniony przez Ksina dołączył do plemiennej elity. Wkrótce potem zaś zagięła

na niego parol Arpia, która bez trudu mogłaby być jego córką, i to bynajmniej nie najstarszą.

Stary samotnik zupełnie nie wiedział, jak odnaleźć się w tej sytuacji. Zapewne przegoniłby zadurzoną podfruwajkę na cztery wiatry, gdyby nie była ona siostrą żony Ksina. Skutkiem tego dylematu była rozbijająca mieszanina irytacji i szacunku, z jaką Hakonóz reagował na karesy Arpii.

Ta sytuacja z kolei niezmiernie bawiła Amarelis, która twierdziła z przekonaniem, że jej młodsza siostrzyczka wkrótce otrząśnie się z zauroczenia surowym i małymównym wojownikiem. Ksin początkowo miał zamiar załatwić sprawę po męsku, doradzając Hakonożowi poślubienie Arpii, co Hakonóz, znając jego lojalność, wykonałby z pewnością jeszcze tego samego dnia, ale ostatecznie kotołak uznał, że nie powinien się wtrącać. Jego rzeczą były sprawy wojny i pokoju, problemy rodzinne pozostawiał Amarelis. Koczownicza księżniczka, musiał to uczciwie przyznać, znała się na tym znacznie lepiej od niego.

Było zatem oczywiste, że teraz Ksin nie pozbędzie się towarzystwa Hakonoża. Stanowczy zakaz byłby jednak nie na miejscu, poza tym kotołak wiedział, że może liczyć na dyskrecję upartego rębajły, więc dał spokój i bez słowa ruszył w stronę przejścia w zasięku.

Hakonóz gestem przywołał jednego z wartowników, by go zastąpił. Nie zamierzał pozostawiać namiotu wozdza pod opieką nastolatki, którą w tej chwili można było ukraść razem z posłaniem, ogniskiem i zapasem opału. Jednak zanim odszedł, przyklęknął i starannie poprawił skóry okrywające śpiącą dziewczynę.

Ksin poszedł szybkim krokiem między namiotami, nie oglądając się więcej na Hakonoza. Chciał jak najszybciej opuścić swe małe królestwo. W gruncie rzeczy do tej pory nie potrafił rozstrzygnąć, czy jego obecny status księcia koczowników Pierwszego Świata był awansem czy degradacją w porównaniu z tym, co osiągnął w Suminorze. Tam miał pod komendą tysiąc świetnie wyszkolonych gwardzistów. Tutaj wszystkich mężczyzn zdolnych do walki zebrałby niecałe pięć setek, które w otwartej walce prędko i łatwo zostałyby rozniesione przez dwie setki regularnego wojska. Koczownicy praktycznie nie używali zbroi i hełmów, nawet nie każdemu chciało się nosić tarczę. Takich jak Hakonóz znalazłoby się może dziesięciu, nie licząc narwanych, młodych wojowników, którym wydawało się, że mogą wszystko tylko dlatego, że nikt im jeszcze nie nabił naprawdę solidnego guza i dla których głównym źródłem waleczności była chęć imponowania dziewczętom. Oczywiście tylko do czasu, aż pojęli je za żony... Z całą pewnością to plemię znaczącej potęgi militarnej nie stanowiło!

Jednak z drugiej strony to byli jego ludzie... Im był naprawdę potrzebny! Zarówno jako żywy dowód, że bogowie nad nimi czuwają, jak i wódz, który pewnie przeprowadził ich przez trudne do wyobrażenia niebezpieczeństwa, nie pozwalając ginąć na darmo ojcom rodzin. W Suminorze zatem kotołak w królewskiej służbie był tylko monarszym kaprysem, narażającym Redrena na poważne koszty polityczne, które w każdej chwili mogły przeważać nad zaletaniami Ksina. Tutaj nie musiał spadać co chwila na cztery łapy.

Zatem nie! W sumie nie zazdrościł swemu lustrzanemu bliźniakowi, powstałemu wskutek magicznego rozdwojenia. Nie bez powodu stał przed zwierciadlanym portalem tak długo, aż jego odbicie się uniezależniło. Tutaj był panem swojego losu. Tam, czuł to wyraźnie, czekałby go zły koniec... W tym świecie nie działały klątwy, którymi obłożono go w Suminorze. A teraz jeszcze okazało się, że być może dostał błogosławieństwa...

Dotarł do skraj obozu. Tu znajdowała się zagroda ze zwierzętami pociągowymi – końmi, mułami, osłami i wołami. Biegusy trzymano w innym miejscu. Opoдал mieszkał Saro. Ten były złodziejasek i morderca, posiadający magiczny dar rozumienia i mówienia we wszystkich językach, zupełnie nie potrafił się odnaleźć po śmierci Bertii – strzygi i prostytutki, która znęcała się nad nim, omal go nie zagryzła, ale jednocześnie darzyła prawdziwą i wzajemną miłością.

Czas nie leczył ran duszy łotrzyka, lecz je jątrzył. Szczęście Ksina i Amarelis wydawało się Sarowi osobistą zniewagą. Coraz bardziej opryskliwy i ponury, okazujący coraz mniej szacunku, został w końcu, mimo talentu, wykluczony z plemiennej arystokracji. Jego dar nie przydawał się teraz zbyt często, gdyż plemiona koczowników we wzajemnych kontaktach od zawsze dobrze radziły sobie za pomocą mowy ciała.

Niepotrzebny nikomu Saro popadł w jeszcze większą abnegację. Pił, wszczywał awantury w obozie i nawiązywał burzliwe romanse, w wyniku czego raz oskarżono go o usiłowanie gwałtu, a innym razem rozwścieczony mąż,

który wrócił wcześniej z polowania, omal nie zatłukł go na śmierć. Przez jakiś czas po tym zdarzeniu Saro miał bezwładne obie nogi, ale mu przeszło. Od tej pory dawny kochanek strzygi żuł nasiona szaleju, aby złagodzić ból w przetrąconym kręgosłupie. Znów zbyt wiele i zbyt często. Skutkiem tego wprawdzie mniej się awanturował, ale zaczęto nazywać go żywym trupem, równie pogardliwie, co trafnie, trzeba przyznać.

Byłby się doprowadził do ostatecznego uwiądu ciała i duszy, po czym skonał lub przepadł w stepie, co wychodziło na jedno, gdyby nie zajął się nim kolejny samotnik w plemienu, myśliwy Czemo, słynący z braku cielesnej skłonności do kobiet.

Saro dał mu się uwieść i zamieszkał z nim, mimo iż, jak twierdził, mężczyźni nigdy wcześniej go nie pociągali. Zapewne była to dlań namiastka powikłanego związku z Bertią. W każdym razie Czemo, który mimo swoich upodobań zniewieściałym ułomkiem nie był, stanowczo zapanował nad nałogiem Sara, potrafił mu narzucić swą wolę i ograniczył stanowczo ilość spożywanego szaleju. Dzięki temu łotrzyk wciąż żył, choć ani trochę większej sympatii nie wzbudzał.

Namiot Sara i Czema stał na samym skraju obozowiska. Kotołak ominął go szerokim łukiem. To było dokładnie ostatnie miejsce, w którym chciałby się teraz znaleźć, by opowiadać o swoich małżeńskich troskach.

Szedł naprzód; poczuł się wolny, dopiero kiedy obóz całkiem zniknął mu z oczu. Pozostały tylko świecące mu nad głową obce gwiazdozbiory oraz nieprzewidywalne drogi błędzących gwiazd, które jaśniały i gasły niczym

wielkie czyny. Mistyczna niepewność i nieokreśloność dały się odczuć w całej pełni.

Magiczny bezkres Pierwszego Świata ogarnął kotołaka i napełnił go poczuciem, że jest jedyną istotą we wszechświecie, zawieszoną ponad przyziemnymi drobiazgami bez znaczenia. To było dobre uczucie, pozwalające się skupić i rozjaśnić myśli. Co prawda gdzieś tam z tyłu krył się w wysokiej trawie Hakonóż, ale on dobrze rozumiał, że w takich chwilach nie należy płatać się Ksinowi pod nogami.

Kotołak przyszedł tu szukać pokoju, lecz zamiast niego pojawił się lęk.

A jeśli Amarelis nosi potwora, który ją zabije? Albo dziecko będzie zwierzęciem? A może trzeba je będzie oswajać tak, jak kiedyś jego ojca? A jeśli ono nie da się oswoić...?

Wziął się w garść i uspokoił. Pytaniami, na które nie było odpowiedzi, najlepiej nie zawracać sobie głowy. Co się wydarzy, temu stawi czoło!

Skąd jednak Amarelis wiedziała, że zajdzie w ciążę? Choć mówił jej, że nie powinna oczekiwać od niego potomstwa, od miesiący zachowywała się, jakby miała pewność, że będą mieli dziecko. Wiedząc zaś, co jej mąż sądzi o swojej płodności, przezornie dołożyła starań, by nie powstał choćby cień wątpliwości w kwestii ojcostwa. I to kto! Młoda desperatka, która postawiła wszystko na jedną kartę, aby zdobyć Ksina, ryzykując degradację do roli wspólnej dziewczki, ba, nawet wręcz otarła się o ten haniebny stan, ażeby teraz nosić dumny tytuł „najczcigodniejszej z niewiast”... Czyżby to wszystko było jedynie

szalonym porywem pierwszej miłości i namiętności? A co z jawną aprobatą Ampekera dla ich związku i jego słowami: „Nasi wojownicy oddadzą ci swoją krew i życie. Czy sądzisz, że któraś z naszych kobiet mogłaby odmówić ci swojego ciała?”, które sprawiły, że Ksin zwrócił uwagę na Amarelis. Czyżby jego słodka Amarelis coś przed nim ukrywała...? Cóż, po tak dumnej kobiecie z pewnością nie należało spodziewać się całkowitej prostoty i braku tajemnic...

Jeśli był w tym wszystkim jakiś sekret, to z pewnością łączył on Amarelis i radę starców. Przepowiednia? Czyżby nie powiedzieli mu wszystkiego...? Doprawdy, chyba jednak zbyt łatwo i skwapliwie uczynili go swoim księciem!

Ksin przygryzł wargi. Tak! Z pewnością kryli coś w zadrzu...

„Trzeba będzie stanowczo rozmówić się z całą starszyzną i moim dumnym skarbem” – zdecydował.

Z drugiej strony jednak czyż jego podejrzenia nie były zanadto chorobliwe? Niby jak miała się zachowywać żona pragnąca dać dziecko mężowi przekonanemu, że dzieci mieć nie może? Miałby za to zranić jej serce? Już prędzej własnymi pazurami wyrwałby sobie własne! Przypomniawsobie twarz śpiącej Amarelis i poczuł się całkiem głupi i bezsilny. A zarazem zrozumiał prostych wojowników, którzy przyklękali, kiedy się do nich zwracała...

Nagle Ksin poczuł się dziwnie...

Tak jakoś swojsko... Całkiem jakby wrócił z dalekiej podróży... Poczuł ulgę, jak gdyby przestąpił próg domu...

Chwilę stał zdezorientowany, po czym spojrzał w górę i zrozumiał, co zaszło. Nad Pierwszym Światem znowu wymieniło się niebo i tym razem było to niebo Międzykontynentu, niebo Suminoru. Natychmiast rozpoznał znajome konstelacje i nie zdołał powstrzymać westchnienia. Wprawdzie już wcześniej widział nad sobą rozgwieżdżone niebo ojczyste, poza tym widywał też niekiedy znajome gwiazdozbiory przemieszane z obcymi – tu, w Pierwszym Świecie, była to zwykła rzecz. Teraz jednak po raz pierwszy, stojąc na nieskończonym stepie Pierwszego Świata, kotołak ujrzał suminorską pełnię księżyca i jej doświadczył...

Księżyc wschodził szybko, znacznie szybciej niż w świecie Międzykontynentu. Tu wszystkie zjawiska astronomiczne zachodziły kilkunastokrotnie szybciej. Księżyc rósł więc w oczach jak wielka, srebrna bańka mydlana, zgodnie z tutejszą zwichrowaną mechaniką nieba, która choć nie naturalnie przyspieszała ruchy ciał niebieskich, to jednak nigdy, osobliwym zbiegiem okoliczności, nie zaburzała rytmu dni i nocy ani pór roku.

Rozpostarcie nad Pierwszym Światem suminorskiego nieba sprawiło, że moc Onego wlała się weń niepowstrzymaną falą, na magicznego kształt żywiołu. Po skórze Ksina przebiegły dreszcze, zaczęła stroszyć mu się sierść, a kości wypełnił ogień...

Powstrzymanie spontanicznej Przemiany, wzięcie jej w karby woli, kosztowało go wprawdzie znacznie więcej wysiłku niż ostatnio, ale poradził sobie bez żadnych niespodzianek.

Zatem wciąż stał i patrzył w księżyc, choć teraz bez ani jednej świadomej myśli, pozwalając, aby srebrny blask przesycony mocą Onego przeniknął go wskroś duszy. Sycał się zawartą w nim oszalemiającą, nadnaturalną energią i zarazem świadomością, że potrafi nad nią całkowicie zapanować.

Poczucie innej Obecności spadło na Ksina nagle i od razu zupełnie realnie, w postaci kształtu, który w okamgnieniu zawisł w powietrzu pomiędzy kotłakiem a księżycem, gdzieś na wysokości dwóch chłopów nad ziemią, po czym spadł z loskotem kilkanaście kroków od Ksina. Kotłak zdążył jeszcze dostrzec błysk tafla zanikającego magicznego portalu.

Teleportowany potwór powstał sprężysto i w ciszy nocy rozległ się odgłos przypominający świergot cykady, lecz o wiele głośniejszy i ostrzejszy, rozbrzmiewający narastającą złowrogą nutą. Równocześnie w skrytym za wzgórzem obozie koczowników zaczęły wyc wszystkie psy. Za sobą kotłak słyszał głośny tupot biegnącego mu z pomocą Hakonoża.

Nie było czasu sięgać po Szpon, nie miało to zresztą sensu. Stał była bezsilna wobec tworów Onego! Ksin zwolnił blokady woli i poddał się całkowitej Przemianie, ani na chwilę nie spuszczać oczu z przeciwnika, a właściwie przeciwniczki.

Miała owadzią głowę z mocnymi żwaczkami... Przedramiona przekształcone w ostre kosy... Wszystkie kończyny były nienaturalnie długie, z dodatkowymi parami stawów. Do tego wszystkiego rzucały się w oczy nagi

kobięcy tułów z wielkimi, sterczącymi piersiami o silnie przebarwionych sutkach, bujne biodra i nienaturalnie rozwartry, mokry, przekrwiony srom, który w świetle księżycy połyskiwał lśniącą czernią...

Modliszkołaczka! Wymarły już ponoć rodzaj bestii, występujący tylko w pierwszych wiekach po upadku Onego.

Ksin nigdy nie spotkał się z tym gatunkiem oko w oko, nawet w samym sercu Puszczy Upiorów. Kobiety umierające w jego rodzinnej Rohirrze, jeżeli zwłok nie zabezpieczono przed Przemianą, w zdecydowanej większości przekształcały się w strzygi lub wampirzyce.

O modliszkołaczkach kotołak wiedział tylko tyle, ile wyczytał w najstarszych bestiariuszach, czyli że wydzielaly zapach, który tak silnie wabił mężczyzn, iż pomimo ich wyglądu nie mogli się powstrzymać od cielesnego obcowania z potworzycami. A w trakcie tego upiornego aktu byli powoli rozrywani na ćwierci i pożerani.

Przemieniony Ksin był bezpieczny, ale nie nadbiegający Hakonóż...

Kotołak nie mógł go ostrzec, gdyż w stanie Przemiany nie mógł mówić. Prychnął więc wściekle, zabiegając mężczyźnie drogę. Zdumiony wojownik przystanął, lecz nie zrozumiał, że powinien się cofnąć.

Tymczasem modliszkołaczka dochodziła do siebie po wstrząsie spowodowanym magicznym transferem i twardym lądowaniem. Przestała kręcić głową we wszystkie strony, skupiła wzrok na Ksinie i Hakonożu, poruszyła zwaczkami. Lekki wiatr wiał akurat od niej ku nim...

Hakonóz stęknął głęboko, niemal boleśnie, jego przepaska biodrowa opięła się i uniosła na podnoszącym się gwałtownie członku. Glevia wypadła mu z rąk. Poczciwy, żyjący tyle lat bez kobiety Hakonóz... Zresztą nawet gdyby miał najnamiętniejszą żonę, którą przed chwilą zaspokoił, na nic by się to nie zdało.

Hakonóz nie miał żony, więc jego reakcja na wabiącą woń modliszkołaczki okazała się tym gwałtowniejsza. Zdecydowanie odepchnął z drogi Ksina, próbując do niej podejść.

Dostał w pierś łapą ze schowanymi pazurami, przeleciał pięć kroków i nakrył się nogami, ale jakby tego nie zauważył. Od razu wstał i z powrotem ruszył jak ćma do świecy...

Modliszkołaczka nie atakowała. Natychmiastowy atak nie leżał w jej naturze. Ofiary zawsze same do niej przychodziły. Rzadko trzeba je było gonić. Jednak teraz pojawiła się wyraźna przeszkoda, którą należało usunąć!

Ogłuszenie ogłupiałego Hakonoża szybkim ciosem w skroń to był najmniejszy kłopot. Ksin musiał tylko uważać, żeby przy tym nie przetrącić mu karku. Jednak pomysł, by chwycić go zębami za kołnierz i zawlec do obozu, okazał się niewykonalny, w sytuacji gdy modliszkołaczka wsiadła kotołakowi na plecy...

Dzielącą ją od nich odległość pokonała jednym skokiem. Skrzyżowała rogowe kosy na końcach ramion i cięła nimi jak nożycami, zmuszając Ksina do porzucenia Hakonoża i desperackiego uniku. Za moment znów była nad nim.

Kotołak na odlew chlasnął ją pazurami, rozrywając na strzępy prawą pierś. Wrzasnęła zgrzytliwie, zrejterowała na bezpieczną odległość i stanęła wyprostowana, zwracając się w stronę księżycy, którego światło wzmacniało i uwidaczniało moc Onego. Dziesięć uderzeń serca później już całkowicie zregenerowana potworzyca wznowiła atak.

Tym razem była ostrożniejsza. Kotołak ze swej strony zatoczył truchtem półokrąg, odciągając ją od nieprzytomnego Hakonoża. W trakcie tego manewru doskoczył do niej raz i drugi, badając jej reakcje i sposób walki. Rogowe ostrza na przedramionach wydawały się naprawdę groźne – ostre, obosieczne i bardzo silne, darń wręcz wybuchala, kiedy chybiwszy Ksina, rozrywały ziemię. Modliszkołaczka chlastała błyskawicznymi cięciami na odlew, z dołu, zza głowy, a potem szarpała do siebie, próbując chwycić ofiarę niczym hakami.

Jednak wkrótce się okazało, że nie jest dość szybka, aby dopaść zwinnego kotołaka, uchodzącego ciosom w błyskawicznych unikach. Stwierdziwszy to, Ksin przypadł płasko do ziemi i przetoczył się jej wprost pod nogi, unikając chaotycznych ciosów przednich odnóży. Na stopach potworzyca miała jeszcze typowo owadzie pazury, ale nie mogła ich unieść, aby nie stracić równowagi, sztywna zaś, pokryta chitynowymi płytami szyja nie pozwoliła modliszkołaczce spojrzeć pionowo w dół. Przeciwniczka Ksina zawahała się więc i nie uderzyła na oślep, by się nie poranić.

To przesądziło o wyniku starcia. Kotołak całym ciężarem ciała rzucił się na prawą nogę potworzycy i wylał

jej dolne kolano, a jednocześnie pazury obu przednich łap wbił w lewe udo modliszkołaczki i szarpnął z całych sił.

Oderwał jej większość mięśni, obnażając ludzką kość udową na długości dwóch piędzi. Przerwana tętnica siknęła czarną krwią. Potworzyca z przeciągłym gwizdem runęła na plecy, kalecząc się w drugą nogę. Desperacki cios ramienioostrza znów minął łeb kotołaka. Ksin był już w innym miejscu, gotów teraz wypatroszyć potworzycę, przebijającą szaleńczo, lecz bezradnie półowadziemi odnóżami.

Musiała to pojąć, bo natychmiast zwinęła się w olbrzymi precel, przetoczyła w bok i spróbowała wstać. Teraz jednak dopadł ją ból. Zaskowyczała niemal ludzkim jękiem, okaleczone nogi ugięły się pod nią, usiadła z rozmachem i zaczęła się wycofywać, szorując zadem o murawę, jednocześnie starając się tak ustawić, aby światło księżycy padło na jej rany.

W tej chwili kotołak bez trudu mógłby ją zająć od tyłu, oderwać jej głowę i wyszarpać serce, ale coś go powstrzymało od definitywnego zakończenia walki. Modliszkołaczka była o wiele mniej groźnym przeciwnikiem, niż sugerował jej wygląd. Walczyła instynktownie, polegając na typowo owadzych odruchach, bez właściwej potworom Onego furii i żądzy mordy.

„Płytki urok nałożony na osobę żyjącą” – ocenił w myśli Ksin i postanowił nie zabijać napastniczki. Ważniejsza była odpowiedź na pytanie, kto i dlaczego zrzucił mu ją na głowę.

Modliszkołaczka już zregenerowała rany, wstała, ale nauka nie poszła w las. Zrezygnowała z dalszej walki.

Kiedy kotołak zrobił ponowny ruch w jej stronę, odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Jednym efektywnym skokiem oddaliła się od Ksina o ponad dwadzieścia kroków.

Kotołak prychnął wściekle i ruszył w pogoń. W żadnym wypadku nie mógł pozwolić jej uciec! Popędził za nią potężnymi kocimi susami, starając się odrobić straty.

Dwa potwory Onego gnały więc przez szary step skąpany w metalicznym świetle księżyca. Modliszkołaczka skacząca niczym olbrzymi świerszcz i kotołak poruszający się z drapieżnym wdziękiem wielkiego kota. Modliszkołaczka skakała wyżej i dalej, ale rozpędzony Ksin odyskiwał straconą odległość, w chwilach gdy ona sprężała się do kolejnego skoku. Parę razy wylądowała na jakichś krzakach i straciła czas, by się z nich wydostać i znaleźć solidne oparcie dla stóp. To pozbawiło ją szansy ujęcia Ksinowi, ale nie zamierzała rezygnować. Zmęczenie nie wchodziło w grę ani w jej, ani w jego przypadku.

Mogli jednak biec tak długo, aż pod znakiem zapytania stanęłaby możliwość powrotu Ksina do obozu. W Pierwszym Świecie niestałe ruchy gwiazd i słońc nie pozwalały określać podstawowych kierunków w przestrzeni i pozbawiały sensu wszelką nawigację. Tam, skąd się wyszło, można było wrócić tylko po własnych śladach albo przypadkiem. Zasada Wiecznego Błądzenia stanowiła najbardziej podstawowe prawo, obowiązujące w tym magicznym stepie bez kresu.

Ksin zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie na to właśnie liczy modliszkołaczka. Czy jej zadaniem nie jest aby odłączenie go od plemienia? Pytanie, gdzie znajduje

się granica, po przekroczeniu której nie zdoła już dostrzec swych śladów, bo zdeptana trawa zdąży się podnieść...

Właśnie wtedy suminorski księżyc zaczął zachodzić nad Pierwszym Światem. Właściwie to nie zaszedł, lecz nagle zaczęło go ubywać – srebrzysty krąg wyszczerbił się jak ugryziony, błyskawicznie zmienił w spiczasty rogalek, wąski sierp i za moment całkiem znikł z nieboskłonu. Przejście od pełni do nowiu nastąpiło w ciągu zaledwie dwóch minut, w czasie których modliszkołaczka coraz bardziej traciła siły, zwalniała, aż wreszcie przewróciła się i zaczęła tarzać w paroksyzmach odwrotnej Przemiany. Wkrótce na oczach Ksina przeobraziła się w nieprzytomną młodą kobietę, a raczej dziecko. Mniej więcej rówieśnicę Arpii.

Nie była całkiem naga. Miała na szyi jakiś wisiołek, którego kotołak wcześniej nie zauważył...

Ksin wrócił do ludzkiej postaci i usiadł obok, czekając, aż świt, który właśnie się zaczął, przyniesie trochę więcej światła i pozwoli dokończyć oględziny.

Wreszcie stwierdził, że modliszkołaczka ma zawieszony na szyi guzik od jego własnego kaftana, który niespełna rok temu osobiście uszyła mu Hanti. Sama też kupiła do niego guziki, pamiętał je dobrze. Potworzycy dano zatem przedmiot należący do Ksina, którego on wielokrotnie dotykał, zostawiając na nim ślad swojej tożsamości, i który teraz posłużył do bezbłędnego zaadresowania demonicznej przesyłki... Jej rodzaj z kolei wskazywał, że musiało to być dzieło biegłego czarnoksiężnika nekromanty, który sztucznie odtworzył nieistniejący już gatunek potwora Onego.

Kotołak zacisnął zęby na myśl, co by się stało, gdyby modliszkołaczka spadła z nieba w sam środek plemiennego obozowiska albo wręcz do jego małżeńskiego namiotu...

Stanowczo zerwał wisiorek z szyi kobiety. Nie obudziła się ani w ogóle nie zareagowała. To było normalne po spontanicznej i dzikiej Przemianie – wiedział, że ofiara takiego uroku będzie odsypiać nocny szal przynajmniej przez kilkanaście godzin.

Schował swój guzik do sakiewki przy pasie, a następnie zarzucił sobie nieprzytomną dziewczynę na ramię i ruszył w powrotną drogę. Na szczęście miał koci wzrok i nie musiał czekać, aż nowy dzień wstanie w całej krasie. Zresztą do tej pory ślady gonitwy mogły się już niebezpiecznie zatrzeć, gdyż oboje przebiegli naprawdę wielki kawał stepu i doprawdy trudno było zgadnąć, czy biegli prosto, czy może po łuku...

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
Antalis Polska*

Redakcja *Ewa Mościcka*
Korekta *Malwina Łozińska, Zofia Kozik, Małgorzata Ruszkowska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12856-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław